

Wojciech Tomczyk: Przytomniak. O odporności na literackie mody

Uważał, że liczy się tylko to, co człowiek przeżył na dziko, na świeżo. Ważne jest to co zobaczył i w czym uczestniczył, to co przeżył zanim zaczął jednocześnie zapisywać zdarzenia w pamięci, ubierać w słowa i analizować. Tak zdaje się żyją zawodowi pisarze – pisze Wojciech Tomczyk w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Nowakowski. Rzeczywistość jest ciekawa”.

Marka Nowakowskiego poznałem osobiście w listopadzie pamiętnego 1981 roku. To znaczy wtedy poznałem Go po raz pierwszy. Potem poznałem Marka drugi a może, tak naprawdę – trzeci raz, w pierwszej dekadzie tego stulecia. Nasze pierwsze poznanie miało miejsce w trakcie spotkania autorskiego. W trakcie takich imprez, człowiek, jeśli tylko chce, jest w stanie dowiedzieć się o pisarzu tego i owego. Wówczas, w czasie spotkania z Markiem Nowakowskim skorzystałem z tej okazji. Ośmielony jego szczerością przycisnąłem trochę Pisarza. Teraz, po latach, nadarza się okazja, by podzielić się wrażeniami z tej rozmowy.

Do strajkującej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej zaprosił Marka Nowakowskiego ówczesny student wydziału aktorskiego, przewodniczący Komitetu Strajkowego PWST – Maciek Orłoś. Nowakowski przybył na spotkanie nieco spóźniony. Do szkoły nie miał

daleko, mieszkał bowiem na ulicy Długiej, może sto metrów od gmachu Collegium Nobilium. Zawsze ci, którzy mają blisko, przychodzą dyskretnie spóźnieni. Tak już jest i na to skutecznej rady nie ma.

Tu muszę zaznaczyć, że dla Pisarza, nawet wybitnego, spotkanie ze strajkującymi studentami mogło być doświadczeniem ryzykownym. Pisarze, ludzie na ogół dobrzy i trochę naiwni, uważają niekiedy, że studenci należą do publiczności czytającej. Zwłaszcza studenci wydziałów humanistycznych, czy, co gorsza, szkół artystycznych.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Niestety – nie ma żadnych dowodów na to, że studenci wyżej wymienionych kierunków czytają więcej niż stolarze czy dentyści. Przekonanie o ich ponadprzeciętnej erudycji jest irracjonalnym przesądem.

Do legendy strajku przeszło na przykład spotkanie z Kazimierzem Brandysem na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie owego spotkania student bardzo długo i entuzjastycznie opowiadał Kazimierzowi Brandysowi o swoich wrażeniach z lektury *Końca świata szwoleżerów*. I serdecznie gratulował mu napisania tak wspaniałej książki, która zmieniła jego postrzeganie świata.

Kazimierz Brandys podziękował entuzjaście w imieniu swego brata Mariana. Nie trzeba chyba dodawać, że spotkanie miało miejsce na wydziale polonistyki.

*Marek Nowakowski był dla nas
nie tylko pisarzem, idolem, ale
także postacią historyczną*

Dajmy spokój
złośliwym
dygresjom. Tu trzeba
sobie uświadomić,
kim wówczas był
Marek Nowakowski.

Otóż był on pisarzem znanym, poważnym, by nie rzec klasycznym. Co najważniejsze – był pisarzem żyjącym i czytany. Połączenie tych dwóch dyspozycji występuje w przyrodzie nader rzadko. Był pisarzem czytany, także dzięki temu, że po powstaniu Solidarności został z niego zdjęty zapis cenzorski. To znaczy od jesieni 1980 utwory Marka ponownie pojawiły się także w czasopiśmie wydawanych pod cenzurą. Pamiętam, że ogłosił w miesięczniku „Twórczość” świetną nowelę *Hades*, a w jednym z tygodników opowiadanie o ślepym żebraku i jego wilczurze. (Moim zdaniem słabsze). Jednym słowem, przynajmniej dla niektórych z nas był rodzajem idola. Przecież sam Marek Hłasko (autorytet w tych czasach niepodważalny, na dodatek – pisarz już wówczas nieżyjący) pisał o Nowakowskim jako o człowieku i pisarzu poważnym. Co może nieistotne – Hłasko kolegował się z Nowakowskim, w latach pięćdziesiątych. Czyli przed przyjściem na świat zdecydowanej większości strajkujących studentów. Marek Nowakowski był dla nas już wówczas nie tylko pisarzem, idolem, ale także postacią historyczną. Z drugiej strony muszę zastrzec, że my, strajkujący nie mieliśmy poczucia, że uczestnicząc w strajku, uczestniczymy w czymś specjalnie istotnym. Raczej nie mieliśmy takiego poczucia. I w tym wypadku historia przyznała nam rację.

Nowakowski rozpoczął spotkanie od lektury nowego opowiadania. Tym samym dał świadectwo niesłychanej odwagi. Po pierwsze głośna lektura czegokolwiek w gronie studentów szkoły teatralnej jest aktem właściwie samobójczym. NIGDY NIE PRÓBUJCIE TEGO ROBIĆ! W szkole teatralnej forma jest zawsze ważniejsza od treści. Studenci wydziału aktorskiego usłyszą wszystkie niedostatki intonacyjne, dykcyjne, interpunkcyjne i Bóg wie jakie jeszcze. Studenci reżyserii, będą się krzywić, ponieważ spontaniczna lektura jest fatalnie spontaniczna właśnie. Studentom wydziału wiedzy o teatrze pozostaje w tej sytuacji wyłącznie współczucie dla nieszczęsnego amatora. Marek najwyraźniej nic sobie wówczas z tego nie robił. I zamiast powierzyć lekturę pierwszemu z brzegu Jarkowi Gajewskiemu albo nawet rzezonemu przewodniczącemu Orłosiowi – czytał sam.

Po drugie – czytał opowiadanie nowe, nieznane i jeszcze nieuznane. Nie wiedzieliśmy co o opowiadaniu tym myśli Artur Sandauer czy Henryk Breza. Nie wiedzieliśmy co należy sądzić, i to utrudniało rozmowę. Niby byliśmy już bardzo mądrzy, ale z drugiej strony trudno tak po prostu wiedzieć co się myśli i co się człowiekowi podoba a co nie. Jakby na zawołanie. Tak to nie ma.

Gdy skończył, dłuższą chwilę siedzieliśmy sobie trochę speszeni. Dla normalnego Autora to byłoby straszne przeżycie. Ta cisza. Marek oczywiście nic sobie z niej nie robił. Nie wykluczam, że miał nas za jakieś niemoty, nierozgarniętych półkretynów – w końcu szkoła teatralna od lat cieszyła się zasłużoną renomą. Wtedy postanowiłem, wbrew rozsądkowi, odezwać się ja.

Kierowany prostą motywacją – młodzieńczą brawurą – porównałem szybko odczytane opowiadanie – a był to raczej skromny obrazek rodzajowy – do obrazów Pietera Bruegla. Gdyby w lizusostwie uznawano rekordy, ta odzywka byłaby moją życiówką.

Tak się wtedy porobiło, że Pisarz z punktu mnie polubił. Już do końca spotkania tytułował mnie Henrykiem Siemiradzkiem.

Ale nie dlatego o tym piszę.

Piszę o tej rozmowie, ponieważ Marek Nowakowski złożył wówczas kilka deklaracji, świadczących o jego rozumieniu pisarstwa. Nie wszystko mówił wprost, ale to były rzeczy ważne i poważne. To, że pamiętam niektóre z nich do dzisiaj, świadczy chyba o czymś więcej, niż tylko o chłonności młodego umysłu.

Powiedział, że, jego zdaniem, za wcześnie został pisarzem zawodowym (A został nim około trzydziestki). Innymi słowy uważał, że w interesie pisarza leży opóźnianie momentu, kiedy zaczyna żyć wyłącznie z pisania. Tu trzeba wyjaśnić, że pisarzy zawodowych było w peerelu bardzo dużo. Może nawet więcej niż kanarów w MZK. I, umówmy się, ta ilość nie przeszła w jakość. Literatów było dużo, książek powstało znacznie mniej.

Marek uważał, że liczy się tylko to, co człowiek przeżył na dziko, na świeżo. Ważne jest to co zobaczył i w czym uczestniczył, to co przeżył zanim zaczął jednocześnie zapisywać zdarzenia w pamięci, ubierać w

słowa i analizować. Tak zdaje się żyją zawodowi pisarze. Jednocześnie uczestniczą, patrzą i słuchają, ale tak naprawdę są poza sytuacją. Będąc w scenie patrzą na nią z boku. Pisał o tym między innymi Tyrmand w *Dzienniku*. Innymi słowy – Marek Nowakowski początek zawodowej kariery pisarza uważał, za jej właściwy koniec.

*Uważał, że za wcześnie został
pisarzem zawodowym, że w
interesie pisarza leży
opóźnianie momentu, kiedy
zaczyna żyć wyłącznie z
pisania*

Po wtóre, Marek zapytany o swe ostatnie lektury, odpowiedział bez wahania, że jego ostatnim ważnym przeżyciem była powieść Eliasa Canettiego – *Auto da*

Fé. Austriacki pisarz był właśnie świeżym, kilkutygodniowym wówczas laureatem, literackiego Nobla. Jeszcze nie zdążył odebrać medalu. Naturalnie, w Warszawie wszyscy go wówczas czytali. Marek powieścią Canettiego był szczerze zachwycony, doceniał warsztat pisarza. Było to dosyć zaskakujące wyznanie – bo Cannetti wydaje się być, od Nowakowskiego pisarzem dość odległym. Szczególnie dużo miejsca w swej pochwalie noblisty Marek poświęcił wirtuozerii Canettiego zademonstrowanej w analizie złożonej psychiki głównego bohatera. Opowiadał o tym ze znanstwem. Pozostawało to, według mnie, w niejkiej opozycji, do praktyki pisarskiej samego Nowakowskiego, którego psychologiczne wiwisekcje szczególnie nie zajmowały.

Te dwie rzeczy pamiętam po blisko czterdziestu latach. Nic na to nie poradzę, nie byłem wówczas zawodowym pisarzem, nie notowałem na bieżąco i nie podejrzewałem nawet, że kiedyś będę to spotkanie

wspominał. Myśmy naprawdę, uczestnicząc w strajku nie mieli wrażenia, że dzieje się coś istotnego.

Jeśli chodzi o uleganie literackim modom, to Marek oczywiście im nie ulegał. Nigdy, w żadnej sytuacji. Pisarz zresztą nie ma w tej sprawie wyboru, albo jest inny niż inni, albo go nie ma. Artysta musi być koherentny, inaczej przepada. Nikt, ani nic nie może nim sterować, nawet on sam. Nie może na zawołanie przedzierać się czy przepoczwarzyć.

Także ja nie zmieniłem zdania – Marek pisał tak, jak Pieter Bruegel malował.

Tak jak u Bruegla w opowiadaniach Nowakowskiego – to co najważniejsze, nigdy nie dzieje się na pierwszym planie. Nowakowski, tak jak Bruegel po mistrzowsku posługiwał się parabolą, syntezą, skrótem myślowym. Byli tacy, którzy posługiwali się lepiej od nich niuansami światłocienia. Ale kreskę mieli obaj znakomitą.

Nowakowski patrzył i widział. Takich ludzi nazywano niegdyś w Warszawie przytomniakami. Rozumiał znaczenie trywialnych zdarzeń i doskonale czytał uliczne czy tramwajowe sytuacje. Potrafił uchwycić moment, w którym potoczna, banalna rzeczywistość nabiera znaczenia, staje się syntezą, metaforą czy parabolą właśnie.

Wystarczy przypomnieć sobie opowiadanie – Paw opublikowane pod nazwiskiem w podziemnym „Tygodniku Mazowsze”. Prosty obraz egzotycznego turysty przemierzającego halę dworca centralnego do

dziś pozostaje dla mnie niedościgłym wzorem literackiej miniatury. W kilkuset słowach Marek opisał całą polską rzeczywistość. I – jak to miał w zwyczaju – unieważnił wszystkie kłamstwa generałów, redaktorów, rozmaitej swołoczy i kanalii, którzy wówczas trzymali to co dziś nazywa się dominującą narracją.

Potem wydał te krótkie opowiadania w tomie *Raport o stanie wojennym*.

Później byłem jeszcze raz na spotkaniu autorskim Marka, było to w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Nowakowski był już po więzieniu, spotkanie odbywało się w kościele na Karolkowej. W więzieniu znalazł się skutkiem napisania *Raportu* właśnie.

Marek Nowakowski, nie poddawał się zakazom, nakazom, modom. Miał własne zdanie, nie powielał środowiskowych opinii. Nie pisał zbędnych słów. Jako porządny pisarz pisał tylko to, co uważał za istotne i co sam chciał czytać. Brakuje Go.

Wojciech Tomczyk



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

